

Maja Boltowicz, klasa VI

Szkoła Podstawowa nr 5 im. Józefa Wybickiego

w Mińsku Mazowieckim

opiekun p. Mariola Kruszewska

Pewnego dnia znalazłam się na innej planecie

Siedzę w poczekalni laboratorium. Jest rok 2058. Matka Ziemia coraz bardziej przypomina inną planetę. Powierzchnia obszarów zielonych, według tegorocznych statystyk, wynosi już tylko alarmujące 15%. Ludzie skutecznie pozbywają się życiodajnych, zielonych płuc. Wszystko zostaje zastąpione betonem, stalą i tak zwaną nową technologią. Z góry śmieci i odpadów usypaliśmy już prawie drugie Himalaje. Tak być nie może!

– „Dwa dni temu, przez naszą atmosferę, przebił się meteoryt o nieznanym dotąd naukowcom składzie. Od tego czasu, co niewątpliwie wiąże się z uderzeniem planetoidy, wśród populacji ludzkiej notuje się zastraszającą liczbę przypadków znacznej utraty pamięci. Pandemia, bo takie rozmiary przybrało już to zjawisko, rozwija się najszybciej w dużych, tłocznych miastach takich jak np. Nowy Jork, Paryż czy Londyn. Przypadkiem – ewenementem obrazującym skalę rażenia jest pacjent Clive Wearing. Jego pamięć potrafi odtworzyć wydarzenia tylko 30 sekund wstecz, tak więc można śmiało stwierdzić, że nie jest on nawet świadom zagrożenia, które dotarło do nas z kosmosu...” – głos rudej prezenterki przerwał moje rozmyślenia. W tej samej chwili zaproszono mnie na badanie lekarskie. Jednakże zanim dotarłam do laboratorium, telewizyjne relacje na żywo z ulic wielkich miast sprawiły, że miałam trudności z oddychaniem. Poczulałam się jak Matka Ziemia, której zielone płuca rodzaj ludzki zalewał od dziesiątek lat hektolitrami żelbetonu. Nie musiałam znaleźć się na odległej, obcej planecie, żeby tak właśnie się poczuć. Ludzie, którzy stracili pamięć, wylegali na ulice. Poruszali się dziwnie, wyglądało na to, że z utratą pamięci pozbyli się wręcz podstawowych odruchów ludzkich. Początkowo błakali się bez celu jakby bezwiednie szukając utraconej świadomości.

Następnie zaczęli formować większe grupy, coś w rodzaju społeczności, które dosłownie tropiły jeszcze zdrowych i niezarażonych. Akcja rodem z filmu „Na skraju jutra”, z tą różnicą, że tu maszyny zostały zastąpione przez ludzi. Istny kosmiczny horror!

– Zapraszam do gabinetu – powiedział grzecznie i jednocześnie ponagląco dr Ziółko.

Chłonąc, jak gąbka, słowa prezenterki i obrazy rodem z Apokalipsy, na śmierć zapomniałam, iż zostałam zatrzymana w celu przeprowadzenia szczegółowych badań. Naukowcy (oczywiście ci, którym udało się uniknąć infekcji) chcieli sprawdzić dlaczego, tak jak większość, nie straciłam do tej pory pamięci. Dla mnie samej i dla świata nauki również była to jedna wielka niewiadoma. Z tego powodu czułam się trochę jak królik doświadczalny. Gdybym rzeczywiście była królikiem, mogłabym czmychnąć do jakiejś głębokiej norki i przeczekać ten cały Armagedon, jednak rozwiązanie zagadki mojej dobrej kondycji umysłowej miało być ratunkiem dla populacji ludzkiej. Nie było czasu na strach i tym bardziej marudzenie w stylu: „Mamusiu, ja się boję”. Zatem ruszyłam chwiejnym krokiem w stronę otwartych drzwi wskazanego mi pomieszczenia.

Pokój był wypełniony masą urządzeń, próbek i innych nieznanymi mi przedmiotów. Po wizji lokalnej pomieszczenia stwierdziłam, że jest wysoce prawdopodobne, że wyjdę stąd jako Frankenstein. Zaczęło się robić jeszcze bardziej nieciekawie, gdy lekarz podszedł do mnie z wielką strzykawką. „A może wirus jednym zabiera pamięć, a innych zmienia w wampiry” – pomyślałam, bazując na rozmiarach strzykawki.

Dalszej części wydarzeń nie pamiętam! Powiało grozą! - prawda. Pomyślicie, że tajemniczy wirus zaatakował również i mnie. Na szczęście dramatyzm sytuacji był oparty na moim panicznym strachu przed widokiem krwi. Dodatkowo igła rozmiaru XXL spowodowała zerwanie kontaktu z rzeczywistością i po prostu zemdlalam!

Pierwsze słowa, które zakodowałam po pamięciowej czarnej dziurze, to:

– „Jesteśmy uratowani! Dostaliśmy antidotum od Matki!” – oznajmiał z przejęciem dr Ziółko.

– Hm – dedukowałam z podziwem – pana mama też jest naukowcem. Celność mojej uwagi okazała się mocno chybiona i pomimo powagi sytuacji, doprowadziła lekarza do śmiechu przez łzy.

– Chodziło mi, Maju, o Matkę Naturę – wyjaśnił. Zbierzmy fakty. Wirusy, które dotarły na naszą macierzystą planetę wraz z asteroidą, rozprzestrzeniały się najszybciej w wielkich skupiskach miejskich. Powietrze miejskie, jak wiadomo, od dziesiątek lat wzbogacamy – ironizował – mieszanką spalin, które stały się swojego rodzaju nośnikiem dla kosmicznego wirusa. Pietą Achillesową mikroba jest czyste powietrze stanowiące coś w rodzaju niewidzialnej kurtyny, utrudniającej ekspansję, a przecież wy mieszkacie na skraju lasu. W twoim przypadku było coś jeszcze – dodał tajemniczo. Testy pokazały, że twoje ciało posiada silny oręż do walki z wszelkimi drobnoustrojami – masę antyoksydantów. Pochodzą one z mieszanki ziół sporządzonej jeszcze przez twoich pradziadków (twoja mama zdradziła nam jej skład), a spożywaną przez twoją rodzinę regularnie. Reasumując, ty i inni, którzy ogólnie mówiąc, żyją blisko natury, właśnie przez nią zostali ocaleni. Moja ekipa jest w trakcie podawania antidotum milionom zarażonych...

Miałam ogromną nadzieję, że my – ludzie wyciągniemy wnioski z tej dramatycznej lekcji. Inwazja z kosmosu nie musi wiązać się z pojawieniem armii zielonych ludzików i teleportacji, chociażby nas – ludzi w roli niewolników na odległe planety – kolonie. To rasa ludzka eksploatując Ziemię sprawiła, że na przestrzeni dziejów stała się ona inną planetą – obumierającą i resztką sił odgrażającą się zmianami klimatycznymi, a przez to obcą i mniej przyjazną. Wirusowa inwazja (nawet jeżeli byłaby tajną bronią biologiczną obcych) tylko dopełniła dzieła zniszczenia, które człowiek rozpoczął już dawno temu.